W. Leśniewski

№ 10. Warszawa, dnia 7 Marca (24 Lutego) 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

I.W.

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń. Za jeden wiersz petitem kop. 12.

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał drugi roku 1896-go. Warunki prenumeraty pozostają te same a mianowicie:

W Warszawie: kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Adres: „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

St. Aziel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

W samej rzeczy usługi swe w tym względzie ofiarowywała pani Męckiej, powodowana ciekawością poznania i tej także strony codziennego życia. Ale na myśl tę, by Wirskiego na towarzysza skaptować, wpadła w tej chwili dopiero przez ducha przekory, wiedziała bowiem, że słabą stronę doktora stanowiła obawa mikrobów, a mieszkania biednych uważał on za gniazda i rozsadniki chorób wszelkich.

— Bo to, widzi pan, ludzi mnóstwo podaje się o jałmużnę, a tu czasem wchodzi się do tej nędzy, i cóż: cztery pokoje, żyrandol na środku.

— Bodajby tak wszędzie było — odparł doktór, machinalnie strzepując zawczasu urojone zarazki z rękawa swego fraka.

— Pan się lęka? A to ślicznie! Ależ będziemy pysznie się bawili! Weźmiemy cukierków dla podtrzymania sił, a dla zapachu konwalii.

Dość że zaszachowała Wirskiego tak, iż popadł na nowo w „partyą," choć prowadził ją jednocześnie z pulchną blondyneczką, ku której wciąż zerkał oczyma.

Zanim te układy skończyli, Ada spojrzawszy ku drzwiom, na wchodzących z pierwszej sali, gdzie się powitania z panią domu odbywały, aż spłonęła ze zdumienia.

Obok Julii, wielce rezolutnej a niepierwszej młodości szatynki, także jednej z sióstr po pędzlu, wchodził mężczyzna szczupły, drobny, z twarzą ściągłą, zmęczoną, czupryną płową a zwichrzoną od częstego przegarniania palcami—w układzie nieśmiały, w spojrzeniu zalękły, jak samotnik przypadkiem w rój ludzi wtrącony, a myślą wciąż od nich daleki.

— Hubicz?! — bezwiednie szepnęła Ada, już cała uwagą przy tej parze, która zmierzała ku niej.

— Pan tutaj?... W Warszawie? — pytała, dorywczo przywitawszy Julią. — Odkąd? Dawno? Czy pan mego listu nie odebrał? — Dorzuciła ciszej.

Twarz Hubicza rozjaśniła się podobnie jak rozjaśnia się oblicze wędrowca, który w ciemnym obcym lesie naraz ujrzy słońce. Pytań jej nie słyszał.

— A! więc spotykam panią! nareszcie po trzech latach! — rzekł, z radości dając folgę własnym myślom, roztwierając szerzej oczy przygasłe a bezustannie mrugające.

— Ale kiedyż pan przyjechał? Zkąd na tym wieczorze?

— Stanąłem u brata panny Julii. Przyjechałem dziś rano. Dowiedziawszy się zaś, że mogę panią tu zobaczyć i poznać trochę towarzystwo miejscowe, skorzystałem z propozycyi.

— Tak ciekawe są dla pana stosunki tutejsze? — przerwała Ada z roztargnieniem i z niezbyt dobrze powściąganą niechęcią.

Ale w tej chwili zbliżył się do niej Janusz, który niby oglądał z Helą gobeliny i malatury ścian ozdobę stanowiące, ale ruchami tak kierował, aby Adę ciągle mieć na oku i usłyszeć coś z prowadzonej przez nią rozmowy.

— Czyż po takich rautach lasek Bielański nie zaściela się ofiarami pojedynków? — pytał żartem, lecz z pewną wymówką w spojrzeniu, i niecierpliwością w głosie. — Gdzież moje przywileje, piękna damo? Nie dość, że mnie dla innych rzuciłaś, jeszcze patrzę w dodatku na to, jak jakiś tam ktoś na twój widok omal z fraka nie wyskakuje. Kimże jest ten pan obcy?

Ada się roześmiała, lecz wzrokiem przezornie w tył rzuciła na Hubicza i rękę wsunąwszy pod ramię Janusza, pociągnęła go do trzeciej sali.

Wieczora tego była, na podobieństwo rusałki piękną. Powiewna, bladoróżowa suknia osłaniała ją niby wodną falą, a narcyzy i konwalie lekko przypięte u piersi, przy niezwykłej białości jej szyi, a złotym bronzie włosów, nadawały całej postaci coś z uroku i świeżości istot kąpanych w rosie i słońcu.

Janusz prowadząc ją, czuł ciepło jej ramienia przez cienką tkaninę. Pochylał nieco głowę, by głos jej przyciszony dosłyszeć i czuł wtedy zapach jej szyi, włosów i konwalii, i było mu niewymownie rozkosznie a błogo. Ona zaś daleka od rozmarzeń, opowiadała żywo, zlekka wachlarzem powiewając.

— Ten pan, widzisz, to z Krakowa, Maryan Hubicz. Poznałam go w Keniach u Jadwini, dokąd z sąsiedztwa przyjeżdżał w czasie wakacyi. Poeta i matematyk. Pierwsze z powołania, drugie z zawodu, więc rozumiesz: ni jedno, ni drugie na seryo—alembik to dla rozdźwięków duszy i różnych Hamletowskich rozpaczy, a zwątpień... Dziś przyjechał z za granicy, lecz po co? prawdziwie nie wiem.

— Może, aby ciebie zobaczyć, jeśli sądzić mam z rozradowania, którego ukryć nie umiał?

Ada znów się śmiała.

— Patrz, patrz! — zawołała, już gdzieindziej wskazując nieznacznie, — tamta mała, szara, przy portyerze, to także moja wielbicielka. Wprost kocha się we mnie, i tak mnie zanudza... Wiecznie się czai, skrada koło mnie, nerwy mi tem rozstraja niemożebnie. Znieść nie mogę, gdy tą chropawą twarzą mojej dotknie. I po co tu przyszła? Taka brzydka i nierozmowna.

— Biedactwo! — rzekł Janusz, spoglądając na Felcię ze współczuciem.

— A wiesz! przedstawię jej Hubicza!

— Aby odę wspólnemi siłami na cześć twą pisali?

— Nie, nie! ależ!... Tylko ona tak lubi poezye, będzie w siódmem niebie. Naprawdę zapoznam ich—co to szkodzi?

Odbiegła, zakręciła się i w samej rzeczy połączyła dwoje tych ludzi, spoglądających ku sobie, jak jedyne istoty pokrewne, wśród całego tłumu zupełnie od nich różnego.

W kilka minut napowrót przy boku Orońskiego się znalazła, i oprowadzając go dokoła, opowiadała różne szczegóły o obecnych artystach.

Wreszcie zawołała z chlubą:

— Wiesz, jest nas tu trzydzieści malarek, samych uczennic pani Darskiej. A cóż dopiero, gdyby zgromadzić wszystkie z całej Warszawy!

— Bo też czego wy dziś nie zdobicie malarską sztuką? Chyba tylko dachów? — żartobliwie rzekł Oroński. — Na ścianach, na kanapach, przed piecem, na piecu, pod głową, pod łokciem, na stole, pod stołem, wszędzie widzisz malowane gracye i pasterki, gniazdka, pisklęta, całe oranżerye i menażerye, nawet herbatę z niepokojem pijesz, drżąc, byś przypadkiem nie stłukł arcydzieła jakiego, stworzonego rączkami gospodarskiej córy. Ach! jak wy zawsze wszystkiem się bawicie!

Ada gorąco poczęła bronić siebie, towarzyszek i prześladowanej sztuki. Lecz w tem, oczy ich obojga pociągnęła ku sobie wielka, efektowna brunetka, która strojem i zachowaniem ogólną zwracała uwagę.

Ubrana w białą suknię, w dwie greckie tuniki upiętą, z obnażonemi ramionami, z fryzurą na wzór Psyche w swobodny węzeł ułożoną i trzema przepaskami złotemi ozdobną, wyglądała istotnie jak wskrzeszona z czasów Peryklesa piękność. Profil jej twarzy miał klasyczne cechy, zwłaszcza dzięki nosowi, który prostą linią biegł z nizkiego czoła, i głębokim, krótkim załomem odcinał się od ust wydatnie zakrojonych. Mimo tych posągowych rysów jednak i kształtu samej kibici, greczynka trzpiotała się bardzo nowocześnie i swobodnie, gromadząc w swem otoczeniu wyłysiałych starych kawalerów, oraz zblazowaną młodzież o powiędłych licach, podobną do restauracyjnych, kurzem i dymem opylonych oleodruków.

Ada od pierwszego wejrzenia doskonale oceniwszy niebezpieczne współzawodnictwo tej rywalki, chciała przejść do innej sali, bynajmniej nie zwracając na nieznajomą baczności swego towarzysza, ale znowu ktoś po drodze ją zatrzymał, a Janusz tymczasem podsunął się ciekawie, ku hałaśliwej grupie.

I stał tam czas jakiś podziwiając śmiałość, obcesowość i niewyszukaną manierę tego kółeczka, a wreszcie widząc, że Ada pomimo prowadzonej na uboczu rozmowy, wsłuchuje się w ten niewykwintny dyalog, cofać się poczynał z niechęcią, a właśnie i w niej już wzbierało rozdrażnienie, wywołane zajęciem, jakie rywalka wzbudzać umiała śmiałością swą i wdziękami.

— Nie podoba ci się, podjęła z uśmiechem, ale za to ręczę, że gdy ujrzysz tę piękność w jeszcze „klasyczniejszym" kostyumie, w żywym obrazie z faunami, nie poskąpisz jej wielkiego oklasku.

— Chyba ją wygwizdam. Ale czyż podobne widowisko nas czeka? Czy nie możnaby poprzestać na tych konceptach ze srebrnej sali, które słyszałem przed chwilą.

Ognie lic Ady złagodniały. Utkwiła w nim nagle wzrok: słodki, wabny, aksamitny, jak gdyby nim powiedzieć chciała: „Czyż nie czujesz, że chcę, byś mnie jedną widział i wielbił?"

Janusz odwzajemnił jej równie wymownem, długiem spojrzeniem.

Więc też nie żal jej było, że sama na pomysł greckiego przebrania pierwsza nie wpadła, i że wogóle miała przy sukni długie rękawy i stanik niewiele głębiej wycięty niż zazwyczaj.

Po chwili razem z Niutą, Helą i dwoma ich rycerzami pozajmowali miejsca koło stoliczka, by dogodniej spożywać roznoszone przez służbę ciasta i owoce, podczas gdy zwycięzka Psyche rozpostarła się w głębi sali wraz ze swoim orszakiem. Widać było, że w dalszym ciągu wstrząsająco działała na swoich słuchaczy, a przytem w nieustannym była ruchu, to alabastrowem ramieniem ocierając się o stojącego przy niej sąsiada, to znów drugiemu usta przysuwając do ucha, nie zapominając o nóżkach, z których co chwila jedną wychylała z pod rąbka szaty, a wybuchowe uśmiechy i spojrzenia rzucała wszędzie, dokąd inne przynęty dosięgnąć nie zdołały. Szczęściem echa tych rozmów ginęły w ogólnym chaosie.

Natomiast dolatywały urywki innych rozpraw, z bliższego grona pseudo artystek malarek, które znalazłszy się razem, nie mogły i tu powstrzymać się od obrabiania swych spraw „palących" a osobistych.

— A co mnie do tego? Równe prawa wszystskim — broniła się napadnięta. — Ja muszę, muszę mieć własnego wierzchowca w Warszawei, a papa za nic pieniędzy dać mi nie chce. Ale już za kilkadziesiąt rubli sprzedałam przez znajomych na „gwiazdce."

— Naturalnie! Minęły czasy, w których wstydzono się pracy.

— Jabym nie znała loży w teatrze, gdyby nie moje lekcye — szepnęła jeszcze inna, szczupła osóbka w fularowej sukni koloru „saumon."

— A czy pani wie, że na jesieni już do Paryża pojadę? — zwróciła się do Ady Marta, owa pracowicie w szkole studyjująca „martwą naturę młoda dziewczyna, z wielce niemowlęcym wyrazem twarzy i modrych oczu.

Ada żywo się rzuciła.

— Pani do Paryża? Po co?

— Do akademii Julien'a — odparła Marta. I, z naiwnem zadowoleniem dzieciaka, który wie, że zdołał podziw wzbudzić, siadła na foteliku, uprzejmie podsuniętym przez Orońskiego.

— Na studya? Czyż to nie zawcześnie? — mówiła Ada, nie wyjawiając oczywiście, jak skromną opinią cieszyły się artystyczne zdolności panienki.

— Zapewne, lecz pod znakomitym kierunkiem łatwiej się wybić.

Ada żywo błyskała oczyma.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

URANOLIT.

W d. 10 Lutego o godzinie 9—minut 20—sekund 30 rano, oślepiająca błyskawica przeraziła mieszkańców Madrytu. Była ona tak niezwyczajnie jaskrawą, iż pogoda słoneczna mrokiem wydać się mogła w porównaniu.

Ta błyskawica zdawała się wydzielać z chmurki maleńkiej, zawisłej w sferach międzyplanetarnych — chmurki białością odbijającej wyraźnie na tle błękitu, a nadto mającej w środku zgęszczone zabarwienie czerwonawe tego mniej więcej odcienia, jaki posiadają obłoki przy zachodzie słońca.

W 70 sekund po błyskawicy, a zatem o godzinie 9—minut 30—sekund 40, grzmot podobny do silnej salwy artyleryjskiej rozległ się w mieście, a po nim nastąpiło wstrząśnienie, od którego wszystko co było budowlą, zdawało się chwiać w posadach. To wstrząśnienie trwało blizko dwie minuty.

Nie można się dziwić panice prawdziwej jaka ogarnęła mieszkańców stolicy Hiszpanii. Jedni z nich sądzili, że ten huk nadzwyczajny spowodował wybuch w fabryce dynamitu, inni przypisywali na razie zachwianie się domów trzęsieniu ziemi, co było istotnie wielce prawdopodobnem, nie brakło takich, którzy nie wchodząc w żadne przypuszczenia, widzieli w tem zjawisku jakiś niebywały kataklizm przyrody, a znaleźli się i pierzchliwcy zdecydowani, którym tyle razy rozpamiętywany koniec świata wraz z następującym po nim nieuchronnym sądem ostatecznym, odrazu stanął na myśli. Jak utrzymują złośliwi, ostatnia kategorya przerażonych stanowiła większość bezwarunkową.

Nie wchodząc już w tę statystykę, niemożebną zresztą zupełnie do sporządzenia, ograniczym

się do przedstawienia pojedyńczych epizodów, wywołanych przez katastrofę. Otóż dzieci porozbiegały się ze szkół, jakiś młody człowiek pod wpływem przerażenia wyskakuje z okna drugiego piętra, robotnice w jednej z fabryk tytoniu rzucają się całym tłumem ku wyjściu, i wywołują tym sposobem zawalenie się schodów, a wśród takich i tym podobnych scen gaśnie w jednej chwili światło elektryczne we wszystkich podziemiach i hallach targowych, i szyby sypią się gradem z okien domów, zupełnie tak jak to miewa miejsce przy eksplozyach w prochowniach, z tą wszakże różnicą, że wybuch prochu strzelniczego, czy dynamitu, wywołuje wstrząśnienia tylko w domach najbliższych, podczas gdy tym razem widownią katastrofy był Madryt cały.

Barometr w jednej sekundzie podniósł się o 1 milimetr i $^{7}/_{10}$, natychmiast potem opadł gwałtownie, i znowu po sekundzie podskoczył o 2 milimetry i $^{3}/_{10}$.

Dodajmy do tysiącznych wypadków, wynikłych z przerażenia ludzi, trwogę zwierząt rozbiegających się po ulicach, a będziemy mieli przybliżone pojęcie o zamęcie i popłochu, który nawiedził stolicę.

Mała tylko liczba oświeceńszych mieszkańców wpadła odrazu na myśl, że zjawisko wywołał bolid.

Czemże istotnie jest bolid?

Zanim przystąpimy do podzielenia się z czytelnikami niektóremi hipotezami nauki co do pochodzenia bolidów, powiedzmy cokolwiek o szybkości z jaką te ciała odbywają bieg po swoich orbitach. Ta szybkość wedle astronomów bywa bardzo rozmaita. Jedne bolidy przebiegają tylko 20 tysięcy metrów na sekundę, inne dochodzą do chyżości 30, 40, 50 tysięcy metrów w tej samej jednostce czasu, a nawet jak utrzymują uczeni, bolid z roku 1858 biegł z szybkością 85 tysięcy metrów na sekundę.

Dla porównania wypada nam przypomnieć pamięci czytelnika, że ziemia nasza w biegu swoim około słońca posiada chyżość 30 tysięcy metrów na sekundę, a że bolidowi madryckiemu przypisują szybkość 58 tysięcy metrów, będziemy zatem przez porównanie mogli ocenić szybkość tego ciała, która jest blizko dwa razy większą od szybkości naszej planety.

Jeżeli ta cyfra 58 tysięcy metrów, jaką podają astronomowie hiszpańscy, jest precyzyjną, w takim razie wedle opinii Kamila Flamaryona, bolid madrycki szybował ku ziemi naszej z nieskończoności międzyplanetarnej, i powrócił do niej wywoławszy zbliżeniem jedynie swojem to całe zakłócenie niesłychane.

Bolidy i uranolity pękają niekiedy, ale dzieje się to zawsze na skutek ciśnienia atmosfery, że zaś na wielkich wysokościach powietrze jest rzadkie, przeto rozpryskiwanie nie miewa tem miejsca, chyba przy zbliżeniu się do atmosfery naszej. Wtedy te ciała rozgrzewają się do temperatury 3,400° C., roztrzaskują się na miryady cząstek, i pod postacyą odłamów siłą ciążenia spadają na ziemię naszą.

Takich odłamków posiada ilość znaczną każdy mniejwięcej gabinet historyi naturalnej; ważą one od kilku gramów aż do tysięcy kilo, jak to sprawdzono na największym z odłamów odnalezionych w Bahia w Brazylii, którego waga wynosiła 5,360 kilo.

Jednym z pamiętnych o którym wspomina historya, był uranolit spadły w roku 1492 w wiosce Ensisheim za czasów cesarza Maksymiliana. Widział go ten monarcha, widziała go i cała armia, na czele której znajdował się w tej chwili cesarz. Ważył ten odłam 158 kilo.

Powieszono bryłę w kościele parafialnym tej wioski i umieszczono obok niej tablicę z napisem:

De hoc lapide
Multi multa
Omnes aliquid
Nemo satis.

Co znaczy po polsku:

O tym kamieniu powiedziało
Wielu ludzi wiele słów,
Każdy powiedział coś,
Nikt nie powiedział dosyć.

Flamaryon utrzymuje, że to jest bardzo słuszne ocenienie rzeczy, a nadto dodaje, że dzisiaj po czterech wiekach i po tak olbrzymim postępie wiedzy przyrodniczej i nauk ścisłych, że i my dzisiaj nie jesteśmy w możności powiedzieć tego *dosyć*, to jest objaśnić zjawiska wyczerpująco.

Francuzki uczony Daubrée dzieli uranolity na: Holosidery (zawierające czyste żelazo).

Syssidery (zawierające żelazo i kamień).

Sporadosidery (zawierające substancyą kamienia i ziarnka żelaza).

Asidery (pozbawione całkowicie żelaza).

To nam jednak nie tłómaczy pochodzenia uranolitów a przytem jak twierdzi Flamaryon, tych rozróżnień możnaby z pewnością znaleźć i więcej jeszcze.

Cóżby tu jednak powtórzyć z hipotez, któreby czytelnikowi dały cień jakiś prawdopodobieństwa, pod względem pochodzenia uranolitów. Ponieważ posługujemy się tu materyałem zebranym przez znakomitego francuzkiego popularyzatora nauki astronomii, przeto nie pozostaje nam jak podzielić się z czytelnikami hipotezą postawioną przez tego poetę astronoma. Twierdzi tedy Flamaryon że:

1) Ponieważ pocisk wysłany z ziemi z szybkością większą jak 11,000 metrów na sekundę, nie spadłby nigdy na ziemię z powrotem.

2) Ponieważ takiż pocisk wyrzucony z szybkością wynoszącą od 10 do 11,000 metrów na sekundę, spadłby na ziemię ale nie wcześniej jak po jakichś setkach tysięcy lat dopiero.

3) Ponieważ zdaje się nie podlegać wątpliwości, iż planeta nasza posiadała w ostatniej swojej epoce geologicznej wulkany o bardzo wiele silniejsze niż te, które mamy sposobność podziwiać za dni naszych.

4) Ponieważ Jowisz, Mars, słońce i gwiazdy różne, mogą mieć także swoje wulkany.

Przeto jak twierdzi Flamaryon, wolno mu jest przypuszczać, że pewną część uranolitów można odnieść pod względem pochodzenia do jednego z tych ciał niebieskich — mogą być takie, które stanowią kurzawę światów zaginionych błąkającą się dotąd w przestworzach — a w każdym razie skład chemiczny wielu uranolitów zbliżony do składu skał naszej planety, naprowadza na hypotezę przypisującą pochodzenie ziemskie niektórym z pomiędzy tych ciał zagadkowych.

Te, które spadają z małą szybkością mogą pochodzić z księżyca, te które posiadają szybkość większą przychodzą nam z gwiazd. Dobrze jest jednak wiedzieć o tem, że choćby pochodziły z najbliższej gwiazdy, to i tak na dostanie się do ziemi naszej, potrzebowały one nie mniej jak 7 milionów lat.

Oto jedna z cyfr odurzających wszechogromu stworzenia.

T. M.

Boerowie i Anglicy.

Zajęci różnorodnemi kwestyami my, mieszkańcy Europy, mało stosunkowo poświęcamy uwagi rozwojowi drobnych osad zamorskich, rozrzuconych po wszystkich krańcach świata. Bardzo troskliwie naturalnie zajmują się niemi rządy, zwłaszcza te, które prowadzą t. zw. politykę kolonialną, ale ogół wyrzuciwszy z pośród siebie garść emigrantów, zapomina o nich wprędce. Ha, alboż to trudno zapomnieć o nieobecnych?

Aż nagle zatarg jakiś międzynarodowy wybucha, i ujawnia gwałtowny wzrost jednej z odległych, przed niedawnym czasem nic nieznaczących kolonii.

I oto teraz dopiero dowiadujemy się, że tam gdzieś w okolicach na mapach z przed lat kilkunastu oznaczanych jeszcze pustemi miejscami, wre życie na europejską prawie skalę, że tam powstają koleje żelazne, telegrafy, telefony, a obok nich rozpościerają się wszystkie stare występki, wszystkie stare zbrodnie świata.

Taką niespodziankę zrobiła Europie w ostatnich czasach rzeczpospolita Transvaalska. Zachcianka Anglii obdarzenia kraiku tego swoim protektoratem zwróciła nań uwagę dziennikarstwa.

W telegramach z południowej Afryki uparcie powtarzać się zaczęły wyrazy: uitlendery, volksraad, prezydent Krieger i t. d., wyrazy z pewnością nie dla wszystkich zrozumiałe, a przez dzienniki podawane bez żadnych komentarzy.

Dla tych, którzy radziby wyrobić sobie dokładniejsze pojęcie o tych sprawach i o stanie kraju, będącego przedmiotem sporu, podajemy w streszczeniu pracę pana Leroy-Beaulieu, drukowaną w Revue de deux mondes.

Będziemy iść śladami francuzkiego podróżnika, i wybierzemy na użytek nasz kilka bardziej zajmujących obrazów.

I.

W pochmurny ranek okręt zbliża się do przylądka Dobrej Nadziei. Mgły tak grube ścielą się po wybrzeżu, iż zdawaćby się mogło, że to na ląd Szkocyi, nie Afryki południowej wysiąść będzie trzeba. Ale złudzenie znika z chwilą, gdy stawia się nogę na ziemi. Różnokolorowa ludność zamieszkująca Captown nie pozwala wątpić, że jesteśmy w Afryce. Biali, Anglicy i potomkowie dawno osiadłych Holendrów i Francuzów, Malajczycy sprowadzeni w XVIII w., oliwkowej cery Hotentoci, czarni Kaffrowie, kręcą się przed oczyma przybysza, zadziwiając go różnobarwnością swych postaci. Jaskrawe stroje Malajek i Mulatek dopełniają wrażenia.

Captown choć założone przed 250 laty liczy tylko 80,000 mieszkańców.

Bo też to miasto to tylko brama do Afryki południowej. Przepływają przez nią tłumy zdążające do kopalń dyamentów w Kimberley, do pokładów złota w Witwaterstrand, ale w samem Captown zatrzymuje się bardzo niewielu emigrantów.

Od Captown do Johannesburg, zamknięty w pociągu kolei żelaznej przebywa podróżnik niezmierne płaszczyzny rzeczypospolitej Orange, bezdrzew-

ne i suche. W miarę zbliżania się do rzeki Vaal, krajobraz staje się coraz milszym, dzięki urodzajniejszej w tych stronach glebie, wreszcie po tamtej stronie rzeki, we właściwym Transvaalu, zaczyna być urozmaiconym.

Pagórki ukazują się jeden za drugim, wyżyna podnosi się, wreszcie kominy tu i owdzie sterczące świadczą, że zbliżamy się do celu.

Już nawet jesteśmy w Witwaterstrand, na największem na ziemi polu złotodajnem.

II.

Przy huku młotów, śród dźwięków różnojęzycznej gwary, wzrastało miasto-grzyb, jak nazywają w Ameryce te ukazujące się nagle na zielonem tle stepów obozowiska ludzkie. Od podobnych miast Ameryki, Johannesburg różni się jednak przedewszystkiem trwałością swoich budowli.

Prawdopodobnie z powodu braku drzewa w tych stronach wszystkie domy budują się tu z kamienia lub cegły; odejmuje to miastu cechę tymczasowości, którą posiadają prawie wszystkie takie osady, powstałe nagle na wieść o odkrytych pokładach złota lub drogich kamieni.

Po dwóch stronach głównej arteryi miasta, *Comissioner-street* wznoszą się wspaniałe gmachy, giełda, biura zarządu kopalń, domy bankowe pierwszorzędnych firm i t. d.

Przechadzając się po tem mieście tak prawie zupełnie europejskiem, wśród bogatych sklepów i magazynów, zaledwie uwierzyć można, że 10 lat temu rozciągały się tutaj pastwiska bez granic, że ta sama ziemia, której 1 metr kw. kosztuje teraz 500 franków, nie miała wówczas zupełnie ceny, że nierzadko 2,000 hektarów zamieniano za zaprząg z 16 wołów i t. p.

Tem bardziej zadziwiać musi ten nagły wzrost miasta, gdy się zważy, że do r. 1892 obywało się ono bez komunikacyi kolejowej. Na wozach sprowadzano zarówno żywność jak narzędzia i materyały budowlane z Kimberley lub Port-Natal. Obecnie Johannesburg połączony jest liniami kolejowemi z Captown, Port-Elisabeth, East-London, Port-Natal i Delagoa-Bay. Od strony południowej kopalnie dotykają samego prawie miasta, i nie pozwalają mu rozszerzać się w tym kierunku. To też wylewa się w przeciwnym. Dzielnica północna jest dzielnicą arystokratyczną. Tam to po za właściwem miastem prawie, wznoszą się pałacyki i wille ludzi bogatych, budowane w stylu południowym z gankami i werendami. Brak jednak tym letnim rezydencyom najważniejszej ozdoby, drzew. Tylko sztywny i mało dający cienia eukalyptus sterczy gdzie niegdzie.

Dzielnice zachodnie i północno-zachodnie pozostawione są Indusom i Negrom, którym po zachodzie słońca nie wolno pokazywać się w innych stronach miasta.

Warunki hygieniczne tej okolicy są wogóle znośne, brak wody tylko przykro odczuwać się daje. Pora sucha, podczas której ani jedna kropla deszczu nie odwilży spieczonej ziemi, trwa od 6 do 9 miesięcy. Tumany kurzu nie pozwalają wtedy przechadzać się po ulicach, które za to w porze deszczowej zamieniają się w prawdziwe jeziora. Temperatura bardzo zmienna; w miesiącach Lipcu i Sierpniu zdarzają się nocami silne mrozy. Nieponętnie jednem słowem przedstawia się tu życie, i można być pewnym, że gdy kopalnie przestaną dostarczać drogocennego kruszczu, ruch sztucznie wywołany ustąpi miejsca poprzedniej martwocie.

Ludność Johannesburgu obliczoną jest zwykle na 80,000. Cyfra to jednak niepewna i zmieniająca się raz po raz, jak to zwykle bywa tam, gdzie fale ludności tułaczej nadpływają i odpływają nieustannie. Kto poznał pod tym względem Johannesburg, tego nie zadziwią słowa pewnego mieszkańca Chicago, który zapytany w podróży o ludność swego miasta, odpowiedział: nie wiem, ile ona wynosi obecnie, od tygodnia jestem w drodze.

III.

W rzeczypospolitej Transwaalskiej na przestrzeni dorównywającej połowie dzisiejszej Francyi żyje 200,000 ludzi białych i 700,000 ludzi kolorowych.

Ludność biała dzieli się na dwie kategorye: t. zw. Boerów, rzeczywistych, stałych mieszkańców kraju i *uitlenderów*, cudzoziemców, przybyszów z różnych stron świata, którzy zbiegli się do Transvaalu na wieść o odkryciu min złota. Ci ostatni stanowią dwie trzecie całej ludności białej.

Boerowie są potomkami wychodźców holenderskich i hugonotów francuzkich, którzy po odwołaniu edyktu nantejskiego opuścili Francyę.

Klimat i warunki bytu zmienione, zatarły w nich cechy plemienne. Boer nie jest podobnym do Holendra. Wysoki, chudy, o ciemnych włosach, jasnej brodzie i jasnych oczach, ma w twarzy spokój niewzruszony. Pośród Boerów pojawiają się dosyć często postacie czarnowłose i czarnookie, których rysy i nazwiska świadczą o pochodzeniu latyńskiem. Żadnych zresztą innych śladów pochodzenia tego, ci potomkowie francuzkich kalwinów nie zachowali. Jako narodowość pochłonięci zostali przez Boerów.

Obywatele Transvaalu prowadzą żywot w połowie rolniczy, w połowie pasterski. Niewielką tylko część gruntów swoich poddają uprawie, pozostałe zaś przestrzenie służą za pastwiska stadom wołów i owiec.

Boerowie nienawidzą życia miejskiego. Stolica ich kraju Pretoria liczy tylko 10,000 mieszkańców, i w tem połowę przynajmniej stanowią uitlendery.

Co do tych ostatnich, składają się na nich wszystkie narody ziemi, Amerykanie Niemcy, Żydzi z Rossyi, Anglicy z trójjedynego królestwa, Anglicy z kolonij w Afryce i Australii i t. d. Największy procent stanowią Anglicy. Są to prawie wszystko ludzie bez rodzin, awanturnicy gnani z kraju do kraju żądzą szybkiego zbogacenia się. Przybyli tu, gdy odkryto kopalnie złota— odejdą, gdy pokład wyczerpywać się zacznie, a jednak oni to właśnie wywołali ów zatarg, którego szczegółami pisma europejskie zapełniały przez pewien czas swoje szpalty.

Przypatrzmy się bliżej tej mięszaninie—temu zbiorowi rozbitków z różnych części świata.

Najniepożądańszym żywiołem są emigranci z kolonij Cap t. zw. „illicit diamond buyers" handlarze kradzionych dyamentów—ludzie zdolni do wszelkich czynów przeciwnych prawu. Dalej idą Żydzi. Ci przybywają zazwyczaj ubodzy bardzo, bez znajomości któregokolwiek z używanych języków, ale natrafiwszy na grunt wielce przyjazny do rozwoju talentów właściwych swej rasie, bogacą się prędko.

Niemcy rzadko kiedy poszukują fortuny w kopalniach. Wolą zajmować się handlem, i w pustem polu przy zbiegu krzyżujących się dróg zakładają sklepy zaopatrzone we wszystko, czego człowiek w kraju mało zaludnionym i wpółdzikim potrzebować może.

Amerykanie i Anglicy wreszcie są to właściwie poszukiwacze złota. Witwaterstrand roi się nimi.

Wśród tych ostatnich właśnie zawiązał się spisek celem przyłączenia Transvaalu do Anglii. Za pozór do wzniecenia rozruchów służyć miał ucisk, którego jakoby doznają uitlenderzy ze strony rządu rzeczypospolitej Boerskiej. Na czemże polega ten ucisk?

Oto uitlenderzy nie mają praw obywatelskich, nie mogą wybierać ani być wybranymi do Volksraadu (parlament), mają za to swój osobny Volksraad, któremu wolno zajmować się tylko sprawami kopalni, i który posiada w rządzie jedynie głos doradczy. Zresztą przysługują im wszystkie te same prawa, co obywatelom Transvaalu. Nie o ucisk więc właściwie chodziło, ale o powiększenie krajem tym potęgi, kolonialnej W. Brytanii. Że tak było a nie inaczej, dowodzi najlepiej fakt, iż do akcyi mającej rzekomo na celu obronę interesów uitlenderów, wychodźcy innych narodowości wcale przyłączyć się nie chcieli.

Nie uwieńczyło tym razem powodzenie zamysłów zaborczych Anglików. Przecenili siły własne, a nadewszystko przecenili słabość Boerów. „Boerowie bronić się nie będą, Boerowie są zwyrodniali" powtarzano sobie w kołach emigrantów angielskich. Ale nie tak łatwo wyrodnieje się w życiu stepowem. Flegmatyczni Boerowie zastąpili drogę awanturnikowi Jamesonowi, oddział jego rozbili, przedsiębiorczego syna Anglii wzięli w niewolę, i ktoby się tego po tych zwyrodniałych spodziewał — skazali na śmierć. Dzięki jednak roztropności cechującej potomków holenderskich chłopów, Jameson został ułaskawiony i wydany Anglii, która podjęła się ukarać sama awanturnika kompromitującego ją nieudanem wystąpieniem.

Prawdopodobnie kara to nie będzie ciężka.

F.

Dzieci pozbawione opieki rodzicielskiej we Francyi.

Zapatrzona w zatrważające cyfry statystyczne wykazujące stałe i systematyczne zmniejszanie się ludności, coraz baczniej oglądać się poczyna Francya dzisiejsza za środkami, któreby temu upadkowi na przyszłość zaradzić mogły. Pomiędzy wielu pomysłami i ograniczeniami proponowanemi przez ludzi, których szczególnie alarmuje to staczanie się wyraźne po pochyłości, zwrócono uwagę na śmiertelność dzieci w wieku niemowlęcym, i co z tego wypływa nieuchronnie— na przyczynę przyczyn—na źródło złego, za które ludzie trzeźwego rozsądku uważali i uważają dotkliwy brak starań macierzyńskich, którego ofiarami są niemowlęta francuzkie.

Wiele w obecnym stanie społeczności ma Francya dzieci pozbawionych opieki matek swoich? — zapytuje p. G. Lagneau.

W 1892 r., odpowiadają mu cyfry, na 875,888 zmarłych, szósta blizko ich część to jest 156,000 nie dosięgła roku życia.

Wiadomo dobrze, że we Francyi dziecko w tym wieku pozostaje przeważnie na opiece mamki płatnej, jeśli matka należy do klasy zamożnej, albo oddaje się do przytułków dobroczynnych, gdy rodzice są ubodzy. U jednych tedy zły zwyczaj zakorzeniony od dawna, u innych niesumienność i lekceważenie obowiązków; u tych brak—u tamtych zbytek i próżnowanie — wszystko razem wzięte składa się na fatalne prawdziwie opuszczenie dziecka w wieku niemowlęcym, i co za tem idzie nieuchronnie, na przerażającą prawdziwie statystykę śmiertelności dzieci francuzkich, zanim te zdołają dojść do kilkunastu miesięcy życia.

Dawszy za wygranę stanowi rzeczy w Paryżu samym, bo tu już dochodzi wszystko do absurdu — do niemożebności prawdziwej, rozbiera p. Lagneau stosunki większych miast Francyi.

W tych miastach, powiada on, tuberculosa robi spustoszenia niezmierne, jest też wskutek tego przeważna ilość kobiet zamożnych wątłych, które powierzają dzieci staraniom karmicielek płatnych. Te ostatnie oddają dziecko własne przytułkom, i oto mamy dwa nieszczęścia w miejsce jednego — dwie niedole dziecięce wskutek jednej przyczyny. Dziecko rodziców bogatych schodzi na ręce najemne — a zatem najmniej przyjazne jego rozwojowi, dziecko kobiety podejmującej się tych usług, przyjmuje przytułek. Do samego Paryża przybywa rocznie 5,000 zgórą tych karmicielek, pociąganych przez wysokość zarobku, podczas gdy statystyka wykazuje, że z pozostawionych przez nie dzieci, umiera przez ten czas 77 na 100.

Taki stan rzeczy nie może pozostać na przyszłość.

Jest tam niby ukute jakieś prawo opieki nad niemowlętami i w myśl tego prawa nie wolno jest matce wyrzekać się opieki nad dzieckiem przed ukończeniem 7-iu miesięcy życia tego dziecka, ale cóż z tego kiedy prawo pozostaje dotąd tylko na papierze. W wykonaniu nie widać go wcale.

W miastach prowincyonalnych mogą niekiedy kobiety ubogie zarobkować po fabrykach, powierzając na czas pracy dziecko przytułkom zwanym żłobkami, ale cóż kiedy tych żłobków we Francyi całej jest tylko 200 do tej pory, z których w dodatku na Paryż przypada ich 58, a na przedmieścia jego 29.

Niby to prawo z 23 Grudnia 1874 roku mówi wyraźnie, że obecność każdego dziecka powierzonego mamce płatnej winna być deklarowana w merowstwie, ale obchodzi się to prawo doskonale przy pomocy nazwania mamek płatnych krewnemi dziecka. Wogóle chcąc sobie o rozmiarach złego stworzyć przypuszczalne choćby wyobrażenie, koniecznie spojrzeć wypada na cyfry, a cyfry przestraszają tu rzeczywiście. Dość będzie powiedzieć, że w roku 1890 miasta prowincyonalne, których ludność nie przenosi 20,000 głów, oddały na wsie bliższe lub dalsze ogółem 44,839 dzieci, to jest blizko czwartą ich część, zważywszy, że we wszystkich tych miastach przybyło dzieci 181,948.

Tymczasem kto zechce porównać tablice śmiertelności dzieci opuszczonych przez matki w jakikolwiek z wymienionych sposobów, kto zechce porównać je z cyframi śmiertelnościtych wybranych przez los, które pozostają w domu rodzicielskim, ten odrazu pojmie całą konieczność reformy i całą nagłość wystąpienia państwa w charakterze obrońcy i protektora niemowlęctwa. Proponuje zatem p. Lagneau:

1) Mnożyć wszelkimi środkami przytułki, ochrony i żłobki — wszelkie jednem słowem instytucye, w których idąca do roboty matka mogłaby na czas kilku godzin dnia pozostawić swoje dziecko. Zaprowadzić bezpłatne rozdawanie hygienicznego mleka klassom ubogim i ostatecznie przychodzić z pomocą tak skuteczną, żeby kobieta uboga została płatną przez państwo karmicielką swego własnego dziecięcia.

2) Obostrzyć jak najsurowiej wspomniane już przez nas prawo z roku 1874 i rozciągnąć go zarówno do karmicielek płatnych, jak i do tych, które figurują w charakterze osób spokrewnionych z rodzicami dziecięcia. Włożyć na inspektorów obowiązek najskrupulatniejszego nadzoru i energicznego stosowania kar za uchybienia przeciw przepisom.

Do tych postulatów p. Lagneau dodaje Revue Scientifique, z którego czerpiemy te wiadomości, uwagi swoje, które w dosłownem brzmieniu przytaczamy tutaj:

„Wielki bo już czas okiełznać ten ruch nieopatrznie wzniecony, który potrzebującą i niepotrzebującą kobietę popycha do profesyj administracyjnych, zupełnie nie dających się pogodzić z jej powołaniem matki. Napływ kobiet do zajęć wszelkich dotąd wyłącznie obsługiwanych przez mężczyznę, koniecznie oświetlić należy przez wyjaśnienie sytuacyi takie: stanowisk po biurach, fabrykach i warsztatach nie przybywa bynajmniej tyle, aby ich wystarczyć mogło dla mężczyzn i kobiet, faktem jest natomiast, że od czasu napływu kobiet zmniejsza się dla przyczyn łatwo zrozumiałych liczba zawieranych małżeństw. Bardzo to proste i jasne. Mężczyzna nie jest w stanie zapewnić bytu kobiecie.

A tymczasem rozwiązanie wielkiego zagadnienia, któreby pozwoliło Francyi powrócić do dawnego, chociażby tylko normalnego przyrostu jej ludności, nie zawisło bynajmniej od tego, aby jak największa liczba kobiet opanowywała jak największą liczbę stanowisk, ale aby wzrosła liczba związków małżeńskich, czego przy dzisiejszem rugowaniu mężczyzny w żaden sposób osiągnąć się nie da.

Prawem dla wszystkich społeczności, które chcą należeć do liczby silnych i zdrowych jest, aby matka rodziny nie oddawała się pracy pozadomowej. W każdym stanie, w każdej klasie społecznej winna ona jest całą swoją pracę rodzinie, ale w domu. Jeżeli te rugi mężczyzny potrwać mają dalej, a jest wielkie po temu prawdopodobieństwo, ze względu na chciwość przemysłu, który chętnie posługuje się kobietą, przepoławiając dla niej płacę mężczyzny — jeżeli dalej potrwać ma stan taki, powiedzcież nam zapytuje Revue Scientifique, jakie losy przeznaczacie rodzinie i krajowi?

Zapewne, że smutnem jest to wszystko co z taką słusznością porusza pismo poważne i pożyteczne, jakiem jest niezaprzeczenie Revue Scientifique, ale nie wydaje nam się, aby Francya dzisiejsza wstępowała na drogę, któraby ją mogła wyprowadzić z tego zaczarowanego koła

Jeżeli idzie o środki prawodawcze, to do sfer rządzących napływa dziś taka ilość pierwiastku wywrotowego, że o skutecznych projektach do praw mogących ocalić społeczność, mowy chyba nawet być nie może, a wreszcie, alboż to prawa rządzą niepodzielnie społecznościami, alboż to prawa p sane wytwarzają obyczaje? Dobrzeby to było, gdyby na wszelkie niedomagania społeczne starczało jednego lub kilku dekretów dobrze umotywowanych i opatrzonych w odpowiednie paragrafy. Niestety!

Co do nas, to nie bez korzyści w każdym razie powinnibyśmy przypatrywać się tej pracy rozkładowej, tak systematycznie prowadzonej od jakiegoś czasu—jej owocom tak obfitym, i tej homeopatyi środków państwowych, zabierającej się przy pomocy pompki ręcznej do wypompowania wody z tonącego okrętu. Ba! Gdybyżto!

Ale obserwując ten murszejący zachód Europy, obejrzyjmy się, jeśli łaska i po sobie także, bo to niby bielizna zawsze była i będzie bliższą ciała aniżeli sukmana.

Widzimy gdzie się dochodzi przez zaprzeczenie uświęconym związkom rodzinnym i poniewierkę moralności podstawowej, a my tymczasem wcale gładko zaczynamy apostołować w druku przeciw takiej strupieszałej formie jak rodzina, mówimy z głupowatem urągowiskiem o przechwaleniu instynktów macierzyńskich—z ironią o tak zwanym kojcu rodzinnym.

Niekoniecznie bezpiecznemi są zabawki takie, jak widać z przykładów.

K.

Kronika Muzyczna.

Przyznać trzeba, że Warszawa z każdym rokiem muzykalniejszą się staje. Nie spotkasz dziś w niej czlowieka, któregoby muzyka mniej lub więcej nie zajmowała, któryby od czasu do czasu przynajmniej nie bywał na koncertach, operach i wogóle nie pożądał wrażeń muzykalnych. Mogło też pofolgować w ostatnich czasach miasto nasze tym upodobaniom swoim bo niezwyczajnem istotnie urozmaiceniem odznaczają się tegoroczne koncerty i widowiska operowe.

Rozszerzające z każdym rokiem działalność swoją Towarzystwo muzyczne, darzyło nas w ciągu dwóch ubiegłych miesięcy bogatym programem koncertów mniej lub więcej udatnych. Pustki wprawdzie były w salach Redutowych na koncercie Róży Hochmanówny i Benedykta Reinberga; na występach pianistów Ross'a i Moore'a głębszych wrażeń artystycznych słuchacze nie doznali, lecz mieli ich aż nadto, jeśli to możebne, na koncertach Thomsona i wielu następnych. Cezar Thomson, jeden z najgłośniejszych skrzypków w Europie, grą swą ze wszech miar doskonałą, silne robi wrażenie, to też żywiej uderzają muzykalne serca Warszawian na myśl, że Thomson powtórnie ma zawitać do nas w początkach b. m. Bogato zapowiadał się program koncertu Tow. muzycznego w dniu 22 z. m., w którym obok wiolinistki niemieckiej p. Bagińskiej i ulubieńca naszej publiczności p. Nouvelli'ego, wystąpiły chóry mięszane i orkiestra Towarzystwa muzycznego. Ta ostatnia jednak psuła dodatnie wrażenie; licznie skompletowana, pod mniej energiczną batutą p. Michała Hertza, nie mogła ona podołać wykonaniu tak trudnej rzeczy, jaką jest uwertura z opery „Euriante." Nie przebrzmiało jeszcze echo tego koncertu, gdy znów następnej środy uraczyli nas serdecznie „lirnicy" Towarzy-

stwa muzycznego, śpiewając dobrym chórem pieśni Moniuszki i kilka ludowych w układzie chóralnym dyrektora Noskowskiego.

Niezależnie od wieczorów Tow. muzycznego w sali resursy dał się słyszeć p. Wiktor Grąbczewski, który zaniechawszy popisów tenorowych, od natury obdarzony pięknym głosem barytonowym, ze zrozumieniem wykonał kilka pieśni. Na tym koncercie wystąpił profesor Aleksander Michałowski, darząc słuchaczów stylowem wykonaniem arcydzieł Chopina, z których wymienię tu: Impromptu (Fis major), Scherzo (H minor) i Etiudę (Es major).

Po za koncertami, o których wspomnieliśmy wyżej, mieli Warszawianie sposobność słyszenia w zeszłym miesiącu trzech gwiazd estradowych: Mierzwińskiego, Melcera i Śliwińskiego.

Pierwszy śpiewając na dochód pomnożenia kapitału na budowę pomnika Moniuszki w foyer teatru Wielkiego, sprawił nam ucztę prawdziwą wykonaniem pięknym głosem kilku pereł swego bogatego repertuaru, drugi darząc nas dziełami mistrzów: Beethovena, Chopina, Brahmsa, Mendelsohna i Griega, dał nam jeszcze możność usłyszenia własnej kompozycyi *trio*, nagrodzonego pierwszem odznaczeniem na konkursie berlińskim; o tem „*trio*" najwytrawniejszy z krytyków berlińskich mówi, że jest ono „jednem z najlepszych dzieł współczesnej muzyki koncertowej, w którem melancholia w *andante*, w gniew przechodzące *vivace*, pełne humoru *scherzo*, silne wywierają wrażenie." Do udziału w *trio* oprócz kompozytora zasiedli pp. Barcewicz (skrzypce) i Cink (violonczella), co z góry uprzedza, że wykonanie było przewyborne.

Szereg styczniowych koncertów zakończył pan Józet Śliwiński, cieszący się u nas wyjątkową sympatyą i uznaniem. Zatrzymywać się nad wykonaniem olbrzymiego programu nie czuję potrzeby, gdyż zasłużone miano znakomitego wirtuoza, jakiem się cieszy Śliwiński, odpowiada za wszystko, poprzestanę więc tylko na wymienieniu utworów wykonanych w dniu 31 Stycznia na scenie teatru Wielkiego: ballada, walc, „Pieszczotka" i „Życzenie" Chopina, koncerty Schumana i Saint-Saënsa z orkiestrą, impromptu Schuberta, Am Abende Schumanna, „Przy kołowrotku" Wagnera, dwie etiudy Henselta, marsz ze „Snu nocy letniej" Mendelsohna, w układzie Liszta, i „Au bord d'une source" tegoż. Że koncert Śliwińskiego silne na słuchaczach wywarł wrażenie, dowodem to, że zarzucono mistrza gradem prawdziwym bukietów i podano mu wspaniały wieniec ze wstęgami.

W Lutym mieliśmy dotąd koncerty: panny Mary Forrest, śpiewaczki amerykańskiej, obdarzonej prześlicznym mezzo-sopranowym głosem, p. Małgorzaty Eussert, pianistki londyńskiej, i p. Karola Gregorowicza, znanego nam już z występów estradowych skrzypka, a następnie nieszczególny pod względem doboru wykonawców koncert w dniu 13 z. m. Że ostatni wieczór muzyczny z udziałem p. Stanisława Barcewicza, ściągnął do sal Redutowych nader liczny zastęp słuchaczów, tego domyślą się zapewne czytelnicy. Czarowny ton i rzewność w interpretacyi pięknych melodyj zajaśniały pełną potęgą w koncercie Brucha (G-moll), którego wykonanie nie mogło przejść bez głębszego wrażenia słuchaczy. W wieczorze tym przyjęły również udział p. Ludwika Jankowska, laureatka instytutu muzycznego (fortepian), i p. Michalina Kozieradzka (śpiew). Obie artystki zasłużonem cieszyły się powodzeniem.

Tyle z koncertów.

Nierównie większy materyał dla kroniki przedstawia opera, szczególniej ożywiona przyznać należy w z. m. Dotąd w operze naszej występowali sami tylko Włosi; dość będzie wymienić ujmującej powierzchowności p. Olimpię Guercia śpiewaczkę bez głosu, p. Maryą de Nuntio wcale ładnym obdarzoną sopranem, oraz liczny zastęp ich rodaków, a mianowicie pp. Girolamo Piccaluga (tenor niby bohaterski), Stampanoni (tenor liryczny), Morlacchi (także tenor), Pagnoni (baryton), dalej, stale u nas śpiewający od lat kilku a pomijany przez krytyków, choć niesłusznie zupełnie, p. Sillich, oraz prześlicznym obdarzony bas-barytonem p. de Voyod, doskonały wykonawca na naszej scenie partyj: Walentego, Nelusca, Rigoletta i Amonatra.

Niepodobna nie wspomnieć o tem, żeśmy w osobie dotychczasowej śpiewaczki operetkowej, p. Klementyny Czosnowskiej, zyskali bardzo dobrą przedstawicielkę Halki. Ten jej ze wszech miar udatny występ przypomina mi niefortunny zarazem debiut p. Dudzińskiego w partyi Janusza. Nie można odmówić debiutantowi głosu, który z natury jest bardzo ładny i dźwięczny, lecz sam głos, i tylko głos nie daje jeszcze prawa do występu w operze; o tem widocznie p. D. zapomniał.

W rzędzie debiutów udanych postawić należy występ p. Dylewskiej, w partyi Jadwigi w „Strasznym dworze." Obdarzona ładnym głosem altowym, o brzmieniu pełnem i poważnem, pani D. starannie wykończyła partyę Jadwigi, zdradzając przytem niemałą dozę muzykalności.

Niezwykle ożywił się ruch operowy z chwilą przyjazdu na występy gościnne dwóch gwiazd: p. Aleksandry Stromfeld-Klamrzyńskiej i p. Miry Hellerówny.

Pierwsza dała się słyszeć w Hugonotach (królowa), Cyruliku sewilskim (Rozyna), w Łucyi z Lammermooru, Rigolecie (Gilda), ostatnio zaś w Violecie, a zawsze z rzetelnem powodzeniem, na które prawdziwy jej artyzm w grze i śpiewie, umiejętność i swoboda w traktowaniu partyj w zupełności zasługują. Druga wystąpiła dotąd w Hugonotach, Fauście, Carmen, w Cavalerii i w Mignon.

Dziwię się oziębłości publiczności warszawskiej w przyjęciu tej gwiazdy scenicznej przy pierwszym jej występie. Jeśli nie wszyscy zgodziliby się na powierzenie p. Hellerównie partyi Walentyny, to z przyjemnością zaznaczyć wypada, że jest ona typową Małgorzatą, zarówno pod względem śpiewu jak i gry, a także doskonałą przedstawicielką Carmen i Mignon.

W Mignon wraz z p. Hellerówną przychylnie przyjętą została również p. Skulska, jako Filina.

Mira Hellerówna da się jeszcze słyszeć w Żydówce, Afrykance i w Pajacach, a wtedy obszerniej pomówimy o pięknym głosie i niepospolitym talencie scenicznym znakomitej artystki.

Ożywiony występem w operze pana Wiktora Grąbczewskiego oraz świeżo przybyłej p. Labia, tydzień ubiegły dostarczy materyału do następnej pogadanki muzycznej.

T. T.

Coś niby fatalność.

OPOWIADANIE Z RZECZYWISTOŚCI.

(Ciąg dalszy)

Śmierć doktora zacieśniła, można powiedzieć było, węzły serdeczne między dwojgiem młodych. Ona z czułością kobiety, która czuje się stworzoną na to, aby jej wystarczyło od kolebki do grobu jednego przywiązania, chciała mu teraz zastąpić sobą wszystko i wszystkich — on po ostatnim ciosie chronił się do niej instynktownie, bo tylko ona umiała z nim mówić o zmarłym ojcu, tylko z jej ust jedynych nie usłyszał nigdy słów niechęci, albo co gorzej, uwłaczających pamięci nieboszczyka sądów i złorzeczeń. A nie oszczędził Edwardowi los nic z tego rodzaju serdecznych bólów, bo przyznać trzeba, że w szczególnie tragicznych warunkach zszedł z tego świata ojciec młodzieńca.

Kiedy rozpoczynał proces, wziętość jego lekarska była w rozkwicie całym, dochody bardzo znaczne, opinia godna zazdrości, nie można się tedy dziwić, że znalazł z łatwością środki na ruszenie z miejsca tego wozu ugrzęzłego, że przez długie nawet lata nie zabrakło mu możności popychania go w biegu, i podtrzymywania korzystnych sądów o przypuszczalnie pomyślnym doprowadzeniu do końca awanturniczego przedsięwzięcia.

Z latami zdawało się wszystkim, że psuje i rozstraja się całe pracowicie osnute przez adwokata dzieło. Może być, że doktorowi zaczynało nie starczać zasobów, że i kredyt już okazywał się potrzebnym, byli i tacy co przebąkiwali, że inwencya adwokacka pana B. szwankować poczyna — dość, że wszystkie te razem wzięte przyczyny znakomicie obniżyły w mniemaniu powszechnem szanse ostatecznego zwycięztwa, które się tak niewątpliwem przed kilkunastu laty niedowiarkom nawet wydawało.

Przyszedł czas, w którym gorzej jeszcze zarysowało się to, co głos ogółu teraz już nie inaczej jak niezdarną awanturą nazywał. Ciągle okazywał się brak jakiegoś dokumentu, ciągle szła sprawa z restytucyi, a tymczasem rosły koszta niesłychane, mnożyły się pretensye, tak że każdy, kto się tą sprawą interesował przewidywał na końcu jej jakąś zadziwiającą katastrofę.

O katastrofie w losach doktora nie było tu właściwie mowy, bo ta była faktem spełnionym. Sama wielka nawet, ostateczna ewentualna wygrana, wyglądała tutaj na proste urągowisko fortuny, wobec stopniowego wygasania rodziny, pochylonych bark, zbielałego włosa i całej postawy znamionującej ostateczne zużycie się człowieka w tej walce zaciętej. Nigdy też może pieniactwo nie wydało dobitniejszej i bardziej odstraszającej ofiary.

Ale teraz przychodziła już kolej na prawdziwą gimnastykę szalonych. Zaciąganie zobowiązań

u przyjaciół i znajomych — zobowiązań nie spłacanych nigdy, a odraczanych po wielekroć razy, należało do przeszłości — teraz nadeszła faza pożyczek zabójczych, pokrywanie jednych drugiemi, a ciągłe odwłoki ostatecznego rezultatu, stopniowe ale stałe obniżanie się klienteli lekarskiej, i sam wiek zwyciężonego, jak się zdawało, szermierza, otwierały upusty lichwie, która dokończała swoją ofiarę fantazyjnem prawdziwie łupieztwem.

W takich opłakanych warunkach zchodził powoli do grobu człowiek, o którym mówimy.

Szedł on też ku zagładzie swojej krokiem bezświadomego prawie maniaka, obojętnego na wszystko co się dokoła niego rozprzęgało. Zimny, drętwy, budził się z zastygu swojego jedynie na wieść jakiegoś nowego niepowodzenia, które należało usunąć—jakichś trudności i niebezpieczeństw, które trzeba było zażegnać za wszelką cenę.

Takim zastać go miała nadchodząca śmierć.

O krok od niej dopiero ocknął się w nim po części człowiek dawny. Z żałością oglądał się za niedoścignionym celem życia, za przeszłością poniesioną w ofierze tej zmorze prawdziwej, ale zwyczajem ludzi, którzy długo borykali się z niepodobnemi trudnościami wbrew wszystkiemu i wszystkim, wstawiał się jeszcze do syna za niedokończonem dziełem swojem, upominał o wytrwanie, obiecywał rychły a niezawodny skutek.

— To co było najtrudniejszem, zrobiłem ja — mówił na kilka godzin przed zgonem do Edwarda. — Poświęciłem temu naukę, którą ceniłem w swoim czasie po nad wszystko, zaniedbałem wiele obowiązków najbliższych, zrezygnowałem z szacunku świata, i gdybyś ty małodusznie uległ pod naciskiem szyderstwa ludzkiego i pozwolił zmarnieć rozpoczętej robocie, pamiętaj, że byłbyś tym właśnie, któryby pamięć moją w ostateczną oddał poniewierkę. Nie spłacenie zobowiązań, inaczej mówiąc krzywda ludzka nienaprawiona, ośmieszenie ostateczne mojego zdrowego rozsądku, wreszcie wystawienie mnie jako człowieka, który wyciągał rękę po cudzą własność i tak się przytem upierał zawzięcie, wszystko to, wszystko spadnie w takim razie na pamięć moją, jeśli się tobie podoba nie dokończyć tego co rozpocząłem. Prawdziwy wyrok potępienia na mnie, podpisać możesz dopiero—ty.

To były ostatnie wyrazy niemal, którymi żegnał syna.

A ten syn przyznać trzeba, słuchał go w tej chwili, nie harmonizując się z nim bynajmniej, a jeżeli było tam coś ze współczucia serdeczniejszego, to dla cierpień ojca jedynie, dla człowieka wreszcie, który chybił celu postawiwszy wszystko na jedną kartę, a ta karta?

Nonsensem prawie wydawało się Edwardowi odświęcać ją, tak dalece sądy ludzkie na potępienie skazywały cały ów dotychczasowy zachód olbrzymi.

Był więc żal szczery za zmarnowanem życiem osoby najbliższej, było pognębienie ze względu na olbrzymią odpowiedzialność, jaką ojciec przez lekkomyślność zaciągnął, ale postanowienia wykonania jego woli, ale myśli kontynuowania rozpoczętego procesu — na to w tych przedśmiertnych godzinach doktora nie zdobył się do tej pory syn jego.

Zaledwie też w jakiś czas potem przyszło mu poruszyć drażliwy ten przedmiot w rozmowie z narzeczoną. Rozważając nowe warunki w których znaleźć się miał Edward wskutek śmierci ojcowskiej, nie można było i tej sprawy zostawić na boku, jakkolwiek poruszenie samo wywoływało rumieniec na twarz syna, a cóż dopiero, gdyby przyszło powtórzyć tej młodej dziewczynie ostatnie zlecenie umierającego i przedstawić całe brzemię odpowiedzialności, którą go to obarczało. Po kilkakroć już zabierał się do tych zwierzeń Edward, i tyleż razy cofał się, przewidując, że to wielkiemi grozi dlań powikłaniami, i wcale mu nieszczególnie usłuży w oczach rodziców narzeczonej, których zapatrywanie raczej odgadywał, niż wiedział na pewno. Utwierdził go zresztą w tych przypuszczeniach wyraz szczerego zakłopotania, jaki się odbił na twarzy młodej dziewczyny przy pierwszych jego słowach, któremi rzecz ostrożnie zagaić się starał. Widząc ten kłopot i ten przymus, po którym trudno było spodziewać się aprobacyi dla zaleceń ojcowskich w domu radcy M., wolał już Edward spełnić kielich do dna odrazu, skoro los ten kielich nalany po brzegi same, nieodwołalnie przed nim postawił.

— Ale co powiedzą rodzice twoi, gdy się przekonają, że i ja biorę się do tego?

— Czy myślisz się wziąść?

— A gdybym myślał?

Milczenie przykre dla obojga było odpowiedzią jedyną ze strony młodej dziewczyny; Edwardowi trzeba było pewności i powtórzył natarczywiej zapytanie swoje.

— Ja nie wiem — jąkała teraz zakłopotana Józia, — jabym nic pewnego powiedzieć nie mogła o tem, jak się zapatrują rodzice. Nie mówili ze mną o tem wyraźnie.

— A domyślasz się?

Dziewczę miało kobiecą powściągliwość matki, i po namyśle dłuższym dodało powoli:

— Mówiłam, że nie wiem. Nie jestem pewna, ale jeśli ci koniecznie na tem zależy... jeżeli ci to potrzebne, to.. zdaje mi się, że rodzice moi nie zgadzają się pod tym względem.

Edward nabierał otuchy. Wyraźnie miał tutaj i sprzymierzeńca w tym domu.

— Matka nie radaby temu była?

— ...Tak.

— A ojciec?

— Wiesz jak on serdecznie oddanym był wam wszystkim.

— Wiem.

— Ale powiedz — zaczęła ona teraz pytać żywiej, — zkąd tobie to przyszło, po co ci to wszystko, dlaczego chcesz?...

— Tu nie idzie o to czy ja chcę, ale o to, że właściwie mówiąc, ja muszę.

— Oh! musisz... — powtórzyła z powątpiewaniem.

I oto jakim sposobem przyszło do tego, że Edward ujrzał się istotnie zmuszonym powtórzyć jej wszystko co mu in articulo mortis przekazał ojciec, jakiemi obłożył go zastrzeżeniami, jak prosił o ratowanie honoru imienia i powetowanie krzywd zrządzonych ludziom mimowolnie.

Dziewczyna słuchała ze spuszczonemi oczyma, nie przerwała mu ani jednem słowem, ale nie mogła ukryć przed Edwardem łzy, która jej się stoczyła po twarzy — łzy, którą on sobie wytłómaczył wzruszeniem i współczuciem dla nieszczęść jego ojca, a którą ona żegnała w duchu spokój dotychczasowy i niezamącone szczęście jakiego kosztowała.

Niemniej wysłuchawszy wszystkiego powiedziała mu krótko i stanowczo:

— Cokolwiekbądź trzymać o tem będą rodzice moi, powinieneś iść za twojem przekonaniem własnem.

— A zkądże tu mowa być może o mojem przekonaniu?

— No to wreszcie, za twoim obowiązkiem jeśli wolisz.

— A ty?

— Ja przyjmę co Bóg da.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Odpowiedzi od redakcyi.

P. St. Wit. W kilku miejscach w Warszawie sprzedają formy z bibułki, np. na ulicy Niecałej „Maison Fenix." Cena formy zależy od jej wielkości i wykończenia, a także czy kupuje się gotową czy też dopasowaną do miary wziętej podług figury. Można kupić całą suknię albo tylko stanik, spódnicę gładką lub ubraną, okrycie, rękaw, kołnierze, pelerynkę i t. p. Panie mieszkające na wsi chcąc posiadać taką formę dopasowaną podług swojej figury, muszą poprzednio przysłać miarę obliczoną w centymetrach.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Najpierwsza Szkoła Kroju i Szycia

EMILII EHRENKREUTZ

uczennicy Worth'a, wykwalifikowanej mistrzyni

CECHU,

42411

w Warszawie, Zgoda Nr 3, Chmielna Nr 24,

Zawiązawszy stosunki z pierwszorzędnemi szkołami w Paryżu, oprócz ogólnych w Warszawie wykładanych systemów kroju, wprowadziłam w mej szkole **obznajmianie z najnowszemi fasonami i modelami mód, z chwilą ukazania się takowych w Paryżu.** Po ukończeniu kursu wydają się Patenta Cechowe. Pensyonarki przyjmuję.

GAZETA POLSKA

NAJWIĘKSZY DZIENNIK POLSKI,

wychodzi w Warszawie,

przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich.

Po ukończeniu wielkiej powieści Henryka Sienkiewicza pod tytułem „QUO VADIS," zaczęła „GAZETA POLSKA" drukować nieznaną dwutomową powieść

J. I. KRASZEWSKIEGO

42314

pod tytułem:

„NERA,"

napisaną w okresie czasu między wyjściem z więzienia w Magdeburgu a zgonem.

NOWI ABONENCI „Gazety Polskiej," którzy ją zaprenumerują (najmniej na kwartał) od 1 Kwietnia r. 1896, otrzymają wszystkie początkowe feljetony „NERY" **BEZPŁATNIE.**

Obfitość i szybkość informacyi jest cechą *Gazety Polskiej*, która stara się o jaknajwiększą ilość **depesz**, drukuje stale **korespondencye** ze wszystkich **stolic** Europejskich i z przeważnej liczby **miast** krajowych.

Artykuły Gazety Polskiej polityczne, społeczne, naukowe, literackie, artystyczne, wyróżniają się ze względu na swą liczbę, dobór i urozmaicenie.

Prócz tego daje *Gazeta Polska* swoim abonentom **bezpłatne Dodatki powieściowe**, których w roku ubiegłym otrzymali *cztery tomy*. *W Dodatkach* tych znajduje czytelnik najwybitniejsze nowe utwory literatury Europejskiej.

Sprawozdania handlowe *Gaz. Pols.* odznaczają się obfitością i dokładnością danych. Szczególną uwagę zwraca przytem *Gaz. Pol.* na **ceny produktów rolnych**, które podaje systematycznie zarówno z rynków krajowych jak zagranicznych.

Cena „Gazety Polskiej:" W Warszawie: Rocznie rs. 9.60 Półrocznie rs 4.80 Kwartalnie rs. 2.40 Miesięcznie kop. 80 z odnoszeniem do domu.
Na Prowincyi: Rocznie rs. 12 Półrocznie rs 6 Kwartalnie rs. 3.

Adres „Gazety Polskiej:" Warszawa, Warecka Nr 14.

Agentura „Gaz. Pols." w Łodzi: przy Księgarni R. Schatke'go. ul. Piotrkowska.

Zaleca się umieszczanie **ogłoszeń w „Gaz. Polskiej"** ze względu na jej poczytność

WAŻNE! Zawiadomienie! NA CZASIE!

Niniejszem mam honor zawiadomić JW. i WW. PP., że otworzyłam przy ulicy

CHMIELNEJ Nr 18.

MAGAZYN DZIECINNY

zaopatrzywszy takowy na sezon wiosenny i letni w wielki wybór **konfekcyi z doborowych materyałów, wykonanej według ostatnich mód paryzkich.** Po za tem posiada na składzie zabawki, gry pedagogiczne, galanteryę, wyroby włóczkowe, trykotaże — tylko ze źródeł pierwszorzędnych. **Umundurowanie dla uczącej się młodzieży.**

Z czem polecam się łaskawym względom Szanownej Publiczności

ZOFIA ŁASKA.

41925

SPECYALNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

M-me NATALIE TISSERANT

wykwalifikowanej mistrzyni przez urząd starszych zgrom. krawców

W WARSZAWIE, WSPÓLNA 24. 40644

Wykład teoretyczny metodą **Worth'a**, przyczem poświęciwszy 4 miesięczny ostatni swój pobyt w Paryżu, rozwijam w dalszym ciągu na wzór paryskiej szkoły **Moniteur de la mode,** praktyczną naukę estetyki pasowania i upinania sukien. Uczennice kończące całkowity kurs otrzymują patenty cechowe. Pensyonarki mają możność korzystania z konwersacyi francuzkiej i fortepianu.

M. M.

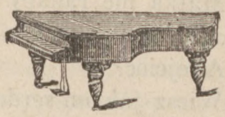
Pierścionki, kolczyki, boutony, brosze, broszki, bransolety, broszki do zegarków, chatelainy damskie i mężkie, łańcuszki do zegarków, zegarki damskie ozdobne, breloki, spinki do mankietów, szpilki do krawatów. Papierośnice, zapalniczki, ołówki, rączki do lasek i parasolek, bonbonierki, flakony do perfum. Puhary, kubki, serwisy do likieru, ozdobne sztućce dziecinne na pamiątkę chrztu, łyżeczki do czarnej kawy i t. p. Przedmioty artystyczne i fantazyjne. (Objets d'art, de luxe, et de fantaisie riche), **poleca w wyjątkowo wielkim wyborze**

M. Mankielewicz

w gmachu teatru pod filarami.

38246

Warszawa, Mazowiecka Nr 16,



Największe w kraju **SKŁADY**

FORTEPIANÓW,

PIANIN

I ORGANÓW

HERMAN GROSSMAN

FILIE:

St-Petersburg

ul. MORSKA 33,

MOSKWA

Kuzniecki Most,

LUBLIN

Królewska Nr 207.

SPRZEDAŻ NA RATY po rs. 25 miesięcznie.



Wynajem.

Illustrowane katalogi gratis. 41536

Warszawa, ulica DŁUGA № 5.



TELEFONU № 772.

WINA ZAGRANICZNE,

Koniak „IMPERIAL."

Wybór wielki. — Ceny najniższe. 417326

B. p. PRACOWNICA zakładu

Św. MARTY, 42124

mam zaszczyt podać do wiadomości Szanownej Publiczności, że przeniosłam magazyn bielizny z ulicy Wilczej Nr 18 na ulicę **Mokotowską Nr 21,** przyjmuję obstalunki z własnych i powierzonych materyałów, a także wyprawy, znaczenie bielizny i wszelkie ręczne hafty, z czem polecam się łaskawym względom **Wiśniewska.**

Дозволено Цензурою, Варшава 19 Февраля 1896 г. Druk Emila Skiwskiego, Warszawa. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.